

*Któregoś dnia pokazano nam film sowiecki „Świat się śmieje”. Nie wiedziałam, co w tym czasie robił świat, ale nawet nam, dzieciom, nie było do śmiechu.*

R. Szablowska-Lutyńska, *Z Wołynia do stacji Taincza*, Kraków 2003

# CZUJI PANIUSIA TYN SMRÓD?

## HUMOR POD OKUPACJĄ SOWIECKĄ 1939–1941

**Generalnie rzecz biorąc, pod okupacją sowiecką ludziom nie było do śmiechu. Panował terror, nikt nie był pewny dnia, ni godziny. W każdej chwili mogło przyjść wszechwładne NKWD i aresztować albo wywieźć na „białe niedźwiedzie”. Nie wiadomo dlaczego i za co.**

Strach, że każde pukanie do drzwi może przynieść osadzenie w więzieniu albo podróż w bydłym wagonie na mroźną Syberię, przytłoczył społeczeństwo okupowanych Kresów. A i życie codzienne pod Sowietami nie nastrajało optymistycznie. Miasta poszarzały, stały się ponure i brudne, półki sklepowe świeciły pustkami. Pojawiły się nieznane w przedwojennej Polsce kolejki. Teraz rzadko dostarczany do sklepów towar trzeba było albo „wystać”, albo „upolować”. A jednak w tym przygnębiającym okresie poczucie humoru nie opuszczało mieszkańców wschodnich ziem Rzeczypospolitej. Słynął z niego zwłaszcza Lwów, miasto bałaku, batiarów, Szczepcia i Tońcia, bez dwóch zdań najweselsze miasto Polski Odrodzonej.

W czasach opresji, obcej władzy, humor nabiera nowego sensu: ośmieszając wroga i jego porządki, pomaga przetrwać, przywracając podmiotowość i zachwiany przez triumf brutalnej siły naturalny porządek rzeczy. W tej nowej postaci humor pojawił się już wówczas, gdy Armia Czerwona wkraczała do Polski. Trzeba powiedzieć, że bolszewickie wojsko zrobiło na mieszkańcach Kresów jak najgorsze wrażenie. Zamiast koni zobaczyli oni chabety, zamiast żołnierzy – brudnych i nierzadko wygłodzonych obdartusów z karabinami na sznurkach. Lwowskie przekupki z miejsca wzięły „wyzwoliciele” na języki: „Czuji paniusia tyn smród – mówiła jedna z nich do drugiej – co się ciągnie za tym wojskiem sowieckim? Jak ci taki oddział przejdzie ulicą, to ma człowiek ochoty nos do tyj kieszeni schować”. Od tego czasu do osoby, która się wlokła, lub nie nadażała, mówiono we Lwowie: „Ta co si ciągniesz jak ten smród za wojskiem sowieckim?”

Ponieważ żołnierze Armii Czerwonej nosili sukienne czapki z wysokim „szpikulcem” (coś na kształt pruskiej pikelhauby), kpiono, że ów szpikuliec służy jako miejsce, gdzie wszy urządzają sobie mityngi propagandowe. Jednak nie tylko wygląd czerwonoarmistów, ale także ich żalosny poziom umysłowy oraz dziecinna wiara w potęgę i bogactwo Związku Sowieckiego były obiektem żartów. Żeby sprowadzić do absurdu propagandę uprawianą przez żołnierzy Armii Czerwonej, wykorzystywano ich ubóstwo pojęciowe, nieznanostwo geografii i języków. I tak, pytano podstępnie, czy w Związku Sowieckim są pomarańcze, cholera, Kopenhaga, nagła śmierć z buraczkami czy cures (w jidisz słowo, oznaczające nieszczęście, kłopoty), na co otrzymywano niezmiennie entuzjastyczne zapewnienie, że tak, wszystkiego tego jest u nich pod dostatkiem, wszystko to – także pomarańcze i Kopenhagę

– produkuje się w fabrykach, a fabryk jest wielka liczba. Samą Kopenhagę produkują dwie fabryki w Moskwie. Te odpowiedzi ludność kresowa kwitowała wybuchami śmiechu. Generalnie przypisywano czerwonooarmistom skrajną wręcz głupotę. Chętnie przytaczano ich rzekome twierdzenia o tym, że w Związku Sowieckim tyfus sprzedaje się na kilogramy, a pszczoły są tam wielkie jak gęsi.

Nie tylko słowa, ale także pewne zachowania żołnierzy Armii Czerwonej budziły rozbrajanie. Nie mogło być inaczej, skoro niektórzy z nich wyciskali sobie wprost do ust zawartość tubek z pastą do zębów (w przekonaniu, że w środku znajduje się coś do jedzenia) albo też brali szklane elementy urządzenia do stosowania lewatywy za ... fiki do papierosów. Rzekome fiki miały kranik, który – jak wmawiali im miejscowi dowcipnicy – służył do dozowania przepływu dymu przez fikę (*wot, imperialisty wydumali: chcesz – kurisz, nie chcesz – nie kurisz*). Czerwonooarmiści nie mogli się nadziwić sprytnemu wynalazkowi. Żołnierze sowieccy wykazywali wprost obsesyjne zainteresowanie zegarkami, dlatego też ludność polska szybko ochrzciła ich ironicznym mianem „zegarmistrzów”. Niektórzy nosili po kilka zegarków na obu rękach.

Zaraz po zainstalowaniu się na okupowanych Kresach, władze sowieckie rozpoczęły indoktrynację polskiego społeczeństwa, stosując rozmaite środki oddziaływania. Szczególnie popularne było obwieszanie budynków rozmaitego typu plakatami, przedstawiającymi m.in. przywódców ZSRS: Stalina, Mołotowa, Kaganowicza i innych. W – z natury kpiarskim – Lwowie szybko odebrano dostojność wizerunkom bolszewickich notabli, nazywając je mało elegancko – „mordami”. Na murach Lwowa pojawił się wierszyk, eksponujący wszechobecność tychże, przy jednoczesnym braku podstawowych artykułów żywnościowych:

*„Ni karowy, ni swini,  
Tolko Stalin na stini...”*

[Nie ma krowy ani świni, tylko Stalin na ścianie].

Braki na rynku tłumaczono sobie grabieżą, dokonywaną na podbitym terytorium. Dowcip mówił, że pociągi, które jadą z ziem polskich do Rosji, sapią ciężko: „*salo* [tj. słonina]... *sachar* [cukier]... *salo, sachar*”, natomiast wracając pędzą, cichutko poświstując: „*spiczki* [tj. zapalki], *machorka* [kiepski tytoń], *spiczki, machorka...*”. Było to zresztą zgodne z prawdą, Sowieci wywozili bowiem z Kresów wszystko, co wartościowe: wyposażenie fabryk, zapasy z magazynów, meble, futra, kosztowności, sprowadzali zaś przede wszystkim właśnie zapalki, tani tytoń, okropną wodę kolońską i wódkę. A także pewne ilości cuchnącego mydła, które miało postać mazi, i do mycia w ogóle się nie nadawało (ludność kresowa mówiła, że bolszewicy robią je ze zwłok zamordowanych przez siebie ofiar). Kiedy więc po kilku miesiącach zapasy mydła się skończyły, na ziemiach okupowanych zaczęła się plaga wszawicy (od dawna już panująca na terytorium ZSRS). Pojawiły się wierszyki (w językach polskim i ukraińskim), będące ironicznym komentarzem do zaistniałej sytuacji:

*„Od waszego mydła,  
Nasze wszy dostały skrzydła”.*

*„Bat’ku Stalin daj nam myła,  
Bo wże woszi majut kryła”*

[Ojciec Stalinie, daj nam mydła, bo nasze wszy mają skrzydła].

Ciśnienie wszechobecnej, natrętej propagandy starano się neutralizować w różny sposób, także opowiadając sobie historyjki, dowodzące jej nieskuteczności. Oto jedna z nich. W kołchozie odbywa się „uczona” prelekcja o Karolu Marksie. Po zakończeniu wykładu prelegent pyta, czy wszyscy zrozumieli jego treść. Kołchoźnicy odpowiadają, a jakże, wszystko

doskonale zrozumieli. Jeden z nich ma wszak pytanie: „Towarzyszu prelegencie, zrozumieć to zrozumiałem wszystko, chciałbym tylko jeszcze wiedzieć, czy na tym Marksie żyją ludzie”.

W końcu 1939 r. władze sowieckie przeprowadziły akcję wyjazdów do pracy w Donbasie. Miała ona charakter dobrowolny. Agitatorzy obiecywali chętnym złote góry: świetne zarobki, doskonałe warunki itd. Na wyjazd skusiło się trochę ludzi, szczególnie spośród uchodźców wojennych z centralnej i zachodniej Polski, którzy nie mieli środków do życia. Pojechali. I już wkrótce pożałowali swej decyzji. W Donbasie czekała ich mordercza praca w kopalniach, nędza, groszowe płace i urągające ludzkiej godności warunki mieszkaniowe. Nic dziwnego, że starali się jak najszybciej uciec z tego piekła. Epopeję pechowych robotników, którzy miast się wzbogacić, stracili wszystko, dosadnie ujął wierszyk, napisany przez anonimowego twórcę, i szeroko powtarzany na Kresach:

„Do Donbasu jako tako,  
A z Donbasu z gołą sraką”.

Dla części ludności okupacja sowiecka oznaczała awans i możliwość robienia kariery, przy czym Sowietci stawiali przede wszystkim na przedstawicieli mniejszości narodowych z nizin społecznych. Niektórzy z nich faktycznie „poszli do góry”, co także znajdowało swój satyryczny komentarz. Ukraiński wierszyk wykpiwał wyniesienie wiejskiej ciemnoty pod rządami Sowietów:

„*Kak ja był na seli,  
To ja pasał byki,  
Prijchaw do Lwowa,  
Hospodar wielikij*”

[Kiedy byłem na wsi, to byki pasalem, przyjechałem do Lwowa, wielkim panem zostałem (wolne tłum. S.K.)].

Kpiny wprost z sowieckich funkcjonariuszy były zbyt niebezpieczne. Jednak rezolutni lwowiacy potrafili zakpić sobie z nich tak, by nie ponieść groźnych konsekwencji. Oto przykład. W lwowskim tramwaju jedzie student. W pewnym momencie postanawia wyskoczyć z pędzącego wozu. Kiedy już ma skakać, chwytą go za kołnierz sowiecki milicjant – którego nie zauważył – i wciąga z powrotem do wnętrza. Żąda dokumentów. Student ich nie ma. Pada pytanie o nazwisko. Student, po krótkim namyśle, odpowiada z przekonaniem: „Pienis”. Zajęcie? Student Uniwersytetu. Fakultet? Taki a taki. Milicjant skrupulatnie zanotował dane studenta Pienisa i puścił go. Następnego dnia zjawia się w dziekanacie wskazanego wydziału i pyta jego pracownicę: „*Pienis u was jest?*”. Ta, nic nie rozumiejąc, cała w pąsach zaczyna bąkać: *Niet, niet, towariszcz milicjant, wied' ja ženszczina...* [Nie, nie, towarzyszu milicjancie, przecież jestem kobietą]. Milicjant, obruszony, stwierdza *A dołžen byt'* [A powinien być], czym jeszcze bardziej konfunduje kobietę. Ponieważ jednak Pienis podał, że tu studiuje, funkcjonariusz żąda widzenia się z wyższą władzą – dziekanem. Zadaje mu to samo pytanie: „*Pienis u was jest?*”. Na co dziekan, acz ogromnie zakłopotany, odpowiada: „*Nu, oczewidno, jest', towariszcz milicjant, wied' ja mužczina*” [Oczywiście, towarzyszu milicjancie, przecież jestem mężczyzną]. Na co milicjant pouczająco: „*Jesli on u was jest', to nado na niewo obratit' wnimanije, potomu czto on iz tramwaja na ulicu wyprygiwajet'*” [Jeżeli go macie, to zwróćcie na niego uwagę, bo on z tramwaju na ulicę wyskakuje].

I kolejne, zabawne zdarzenie ze Lwowa, z jesieni 1939 r. Odbywa się wiec, tzw. mityng, na którym agitator na pytania, związane z wykonywaniem prac w kołchozach, odpowiada, że wszystkie prace wykonują tam traktory. Wreszcie z tłumu pada podstępne pytanie, mają-

ce ośmieszyć mówcę, powtarzającego jak katarzynka: „*wsio dielajut traktory*”. Pytanie, czy w kołchozie są... akuszerki. Agitator nie wyczuł podstępny, zapewne, jak ów milicjant, miał ograniczone słownictwo, koniec końców z jego ust padła sakramentalna odpowiedź: *Niet, wsio dielajut traktory* [Nie ma, wszystko wykonują traktory].

A oto dowcip, który szeptem opowiadano sobie na Kresach, ośmieszający sowieckich funkcjonariuszy, a przy okazji braki zaopatrzeniowe. Na granicy między sowiecką i niemiecką strefą okupacji sowiecki pogranicznik chwyta Żyda. Żąda paszportu. Żyd go nie ma. Pogranicznik domaga się innego dokumentu, na co Żyd okazuje... analizę moczu. Pogranicznik czyta: imię i nazwisko – tak i tak, przezroczystość – taka i taka, cukier – nie ma, białko – nie ma, kwasy – nie ma, inne składniki – w normie. „Z tego wynika – mówi pogranicznik – że nie jesteś szmuglerem. Więc idź sobie zdrowo.” Dla ścisłości zaznaczmy, że w rzeczywistości takie zdarzenie raczej nie mogło mieć miejsca. Nie dlatego, że nie było szmuglu. Owszem, był. Z terenu okupacji sowieckiej szmuglowano na stronę niemiecką głównie naftę i sól, odwrotnie – właśnie cukier oraz środki spożywcze, których na terenie okupacji sowieckiej dramatycznie brakowało. Chodzi o to, że rzeczywisty żołnierz Pogranicznych Wojsk NKWD nie puściłby wolno Żyda, złapanego na granicy (ani zresztą kogokolwiek innego, narodowość nie miała tu żadnego znaczenia). Wsadziłby go do aresztu, a potem sowiecki sąd skazałby go na 5 lat łagru za próbę „nielegalnego przekroczenia granicy państwowej”. A i to byłoby szczęśliwe zakończenie tej historii, jako że sowieccy pogranicznicy bez żadnych zahamowań strzelali do osób usiłujących przekroczyć linię Ribbentrop-Mołotow.

Czasami kpinę z sowieckich funkcjonariuszy ułatwiał dość powszechny brak znajomości języka rosyjskiego przez Polaków i – odwrotnie – nieznaną języka polskiego wśród Rosjan. I znowu zdarzenie ze Lwowa, z jesieni 1939 r. Pewien przechodzień, nie zauważwszy sowieckiego wartownika pod jakimś ważnym gmachem, zostaje osadzony ostrym pytaniem: „*Stoj! Kto idiot?*” Zaskoczony, udając, że nie rozumie, o co chodzi, przechodzień odpowiada: „*Ty sam idiot*” – i najspokojniej idzie dalej.

Ofiarą szczególnie wybujałego poczucia humoru mieszkańców stolicy Małopolski Wschodniej padali nie tylko sowieccy funkcjonariusze, ale także ich żony. Od jesieni 1939 r. przyjeżdżały one masowo do swych mężów, którzy we Lwowie zaprowadzali bolszewickie porządki. Jednym z nich był major NKWD, którego przymusowo dokwaterowano do pewnej polskiej rodziny. Do majora przyjechała żona, kierowniczką chlewni w jakimś kołchozie na Ukrainie. Za wybitne osiągnięcia na tym stanowisku otrzymała ona od Rady Najwyższej ZSRS order, który w świętek i piątek nosiła z dumą na piersi. Przy jakiejś okazji właściciel mieszkania, niechętnie odnoszący się do intruzów, zapytał, za co majorowa dostała tak wielkie wyróżnienie. Przyjezdna wyjaśniła, puchnąc z dumy, że za wyhodowanie świni, która dała w jednym miocie dwadzieścia dwa prosiaki. Polak natychmiast wykorzystał okazję do ośmieszenia żony majora i powiedział: „No, to dlaczego nie przypięli orderu świni?”

Chwalimy mieszkańców Lwowa za cięty dowcip, ale poczucia humoru nie brakowało także mieszkańcom Wilna. W połowie 1940 r. miasto, już raz okupowane przez Armię Czerwoną we wrześniu i październiku 1939 r., ponownie dostało się w ręce sowieckie. Sowietci z miejsca zarządzili tu wybory do fasadowego parlamentu – Sejmu Ludowego, które poprzedziła intensywne kampania wyborcza w typowo bolszewickim stylu. Na licznych zebraniach zachwalano kandydatów wysuniętych przez władze, przy czym ich wybór był, oczywiście, sprawą z góry przesądzoną (rytuałowi musiało się jednak stać zadość).

Jedno z takich zebrań odbyło się w pewnej wileńskiej kamienicy, a prowadził je lejtnant Armii Czerwonej. Wynosił on pod niebiosa zalety dwóch kandydatów do sejmu z miejsco-

wego okręgu wyborczego. Obaj – przekonywał – to synowie chłopów, komuniści wielce zasłużeni w walce z burżuazją. Obecny na zebraniu Polak, chcąc wprowadzić trochę zamieszania i humoru do nudnego spotkania, postanowił zagrać „czujnego” aktywistę i wystąpił z perorą, skierowaną przeciwko jednemu z kandydatów: „Bołtruszka (jego m.in. dotyczyła rekomendacja) – niby w życiorysie powiedziano o nim: komunista, wróg kapitalizmu. Ale, towarzysze, czy to mało wtyczek trockistów i wszelakiej kanalii wślizguje się do szeregów partii komunistycznej, aby ją rozsadzić od wewnątrz? Tacy panowie mogą oszukiwać wyborców, uspić czujność robotników i chłopów. Bołtruszka twierdzi, że jest synem chłopą. Ale czy to prawda? Kto widział, kto zna znał jego ojca? Nikt. A może wychował się w pałacu? A może z innymi panami pił krew mas pracujących. Przeżywamy okres przejściowy. Już Lenin uczył, że musimy zdwoić naszą czujność. Zanim będziemy głosować na Bołtruskę, musimy prosić, aby dobrze sprawdzono jego przeszłość. A może to zamaskowany agent smetonowski [od nazwiska przedwojennego prezydenta Litwy, Kazysa Smetony – red.]? A może jeszcze coś gorszego – może to trockista?”. Zebrani mieli sporo uciechy, widząc przerażenie lejtnanta, którego kandydata tak sprytnie usiłuje się „zdemaskować” jako wroga władzy sowieckiej.

Negacja panowania sowieckiego wyraziła się w anegdocie o staruszce, która ogląda mapę Eurazji z zaznaczoną ogromną, czerwoną plamą Związku Sowieckiego, wzdycha i mówi: „Jeżeli już jest nieszczęście, to czy musi być aż tak wielkie?”. Z kolei wśród ludności ukraińskiej krążył dowcip, wyszydzający lansowaną przez propagandę sowiecką tezę o jej „wyzwoleniu” z „polskiego jarzma”: idzie ukraiński chłop z pętem kiełbasy na szyi i co chwila ją pogryza. Zapytany, co robi, odpowiada: „*Pol'skie jarmo dojidaju*” [Dojadam polskie jarzmo – aluzja do braków żywności pod okupacją sowiecką].

Bogate pole do popisu dla kresowych kpiarzy dawała sowiecka działalność w dziedzinie językowej: zmiana nazw rozmaitych instytucji, skróty i zbitki słowne, którymi nafaszerowana była bolszewicka nowomowa. I tak np. skrót CCCP (*Sowiet Sowietkich Socjalistycznych Rjespublik*) tłumaczono jako: „cep, cepa, cepem pogania”, a niekiedy jako „trzy Srule, jeden Ruski”, RFSRR (*Rossijskaja Fiedieratiwna Sowietkaja Socjalistyczeskaja Rjespublika*) jako „*Riedkij Słuczaj Fienomienalnowo Sumaszedstwija Rasy*” (Rzadki Przykład Fenomenalnego Obłądu Rasy). Kresowi dowcipnisie czasami tworzyli własne skróty, mające na celu ośmieszenie sowieckiej „skrótomanii”. Jednym z nich był skrót Ż. O. P. A., rzekomo od: „*żelaju obszczestwu prijatnogo apietita*” [życzeń towarzystwu smacznego]. Z lubością powtarzany w stołówkach – wywoływał konsternację zgromadzonych. Efekt głośnego wypowiedziania owego „skrótu” nie mógł być inny, bo rosyjskie słowo *żopa* to mało eleganckie określenie tylniej części ciała (w języku polskim mające tyle samo liter).

Również tworzenie na Kresach kołchozów znalazło satyryczne odbicie – głównie w przyśpiewkach, ukazujących fatalne następstwa dla tych, którzy się w nich znaleźli, a także ich rodzin – zaniedbanie wychowania dzieci i biurokratyzację pracy:

„*Tato w sozi, maty w sozi*

*Dity bosi na dorozī*”

[Tata w kołchozie, mama w kołchozie, dzieci bose na drodze].

„*Sydyt baba w sterni*

*i szczytajet trudodni*”

[Siedzi baba na ściernisku i oblicza dniówki].

Choć zabrzmi to niewiarygodnie, ale do humorystycznych sytuacji dochodziło także w tak ponurych miejscach, jak więzienia. Oczywiście były to sytuacje niezmiernie rzadkie,

więzienną codzienność wypełniało bowiem szczerze cierpienie bitych, głodnych i stłoczonych do niemożliwości ludzi. Z tych rzadkich przypadków więziennego humoru wymienimy zdarzenie z więzienia w Starej Wilejce z 1940 r. Siedzący tu aresztanci skracali sobie czas między przesłuchaniami, grając w szachy. Szachy były niezwykle, ulepiono je bowiem ze skąpo wydzielanego chleba. Pewnego razu zawieruszyła się gdzieś jedna z figur. Spowodowało to taką irytację jednego z graczy, że wykrzyknął na całą celę: „Kurwa mać, kto zjadł królowkę?”.

Niezmiernie rzadkie są informacje o poczuciu humoru Sowietów. Ludności kresowej wydawali się oni zasadniczo ponurymi, zamkniętymi czy też zastraszonymi ludźmi. Sowieci naśmiewali się przede wszystkim z tego, że w Polsce wszystkich tytułuje się per „pan”. Nawet buty, bo przecież jeden z ich rodzajów nazywa się pantofel. Rzadko dochodzący do głosu humor sowiecki podszyty był goryczą. Jeden z żołnierzy Armii Czerwonej w sposób nie pozbawiony gorzkiej ironii przedstawiał przyszłość ludności anektowanego terytorium we wrześniu 1939 r.: „Będziecie ciągle szczęśliwi. Uda się wam dostać kilogram cukru – będziecie szczęśliwi, dostaniecie kawał mięsa – będziecie szczęśliwi, a zdobędziecie parę bučików – będziecie bardzo szczęśliwi...”

W przededniu agresji niemieckiej na ZSRS sowieccy komisarze prezentowali następującą opowiadkę, w której dostrzegamy przeczucie nadciągającego konfliktu między oboma zaborcami Polski: Minister spraw zagranicznych Związku Sowieckiego Mołotow, zaniepokojony wielką liczbą niemieckich jednostek na zachodniej „granicy” ZSRS, pyta swego niemieckiego odpowiednika, cóż one tam robią. Z ust Ribbentropa otrzymuje uspokajającą odpowiedź, że odpoczywają. Z kolei minister spraw zagranicznych Rzeszy zadaje pytanie, czym zajmują się wielkie ilości sowieckiego wojska nad wschodnią „granicą” Niemiec. Na to pada odpowiedź Mołotowa: „Ochraniają odpoczywające wojska niemieckie”.

Było jeszcze na Kresach zjawisko, które możemy nazwać humorem mimowolnym. Rozbawienie budzili np. Rosjanie, którzy masowo szukali na ziemiach wschodniej Polski odwszalni, i dziwili się, że w Polsce ich nie ma. Niektórzy uważali to za ewidentny przykład braku kultury. Szczery śmiech budziły też Rosjanki, które – jak pielęgniarki w Nowogródku – zjawiały się na balach, w teatrach i na różnych imprezach towarzyskich ubrane w... nocne koszule (pochodzące z szaf w polskich mieszkaniach, zajmowanych przez Sowietów). Były przekonane, że to suknie balowe ostatniej mody.

Niech za podsumowanie tego tekstu służy bodaj najbardziej popularne powiedzonko pod okupacją sowiecką, w którym celnie wykpiono rezultaty „wyzwolielskiej” misji Sowietów na ziemiach wschodnich: „Bolszewicy przynieśli nam wolność, wybawili nas od wyrobów włókienniczych, soli, mydła i innych towarów, a niedługo wybawią nas również od chleba”.